

Wojciech Stanisławski: Wilk wyspowy

- He's back! – wykrzykuję, nie potrafiąc ukryć entuzjazmu, i niewiele brakuje, bym dodał drugą część wersu rodem ze zwariowanej komedii Jaya Leveya: - And he's more crazy than ever! Wiem, że tak się nie godzi o klasyku. Ale jak inaczej zareagować na wiadomość, że pojawiła się kolejna książka Mariusza Wilka? Ba, dwie.

Ostatni przed zapadnięciem milczenia „Dom włości” (Noir sur Blanc) ukazał się był w 2014. Sporo wcześniej, w 2011, jeśli mnie pamięć nie myli, znikł z łamów „Plusa Minusa” ukazujący się tam jako następcą Herlingowej rubryki „Dziennik północny”. Potem pojawiały się jedynie pojedyncze odwołania, echa. Raz i drugi zdarzyło się – w epoce Google’a, Twittera i Proximity! – że ktoś na serio spytał „czy Mariusz Wilk jeszcze żyje”; a i mnie, prawdę mówiąc, w nadziei, że tak nie jest, utrzymywało głównie niedomknięcie nawiasu z datami urodzenia i śmierci w Wikipedii.

Zdumiewająca niewdzięczność!; bo przecież mówimy o TYM Wilku, którego wyprawy śladem Herlingowej zsyłki, a potem „Wilczy Notes”, zapiski z Sołówek z lat 1996-1998, były na ustach wszystkich. Który w krainie urodzonych rosjoznawców, jaką jest Polska, zaproponował zupełnie nowe, porażająco odmienne jej odczytanie, łącząc własną obecność w rosyjskiej północnej *głubince* z przenikliwym odczytaniem głębokich kodów kultury prawosławnej, podłoża duchowości rosyjskiej

głębszego niż rozrywające ją XIX-wieczne spory; kultury, wydawałoby się, wypalanej jak żelazem przez komunizm, a przecież gdzieś (niszowo, bez szerokiego wpływu na postawy) się odradzającej.

Wilk nie ograniczał się od odkrywania głębi duchowości prawosławnej, wędrował swoją *tropą* dalej, wgryzając się w rosyjską architekturę, mistyków, kulinaria, piotrogrodzkie plotki i język. Tę *tropę* w poprzednim zdaniu przytoczyłem zresztą z nieładną ostentacją, niczym podstarzały konferansjer puszczający zbyt długo oko do widowni, bo to taki Wilkowy komunał, zapamiętany przez każdego, kto przeczytał jedną czy dwie strony jego zapisków. Ale przecież w swoich eksploracjach etymologicznych, w szukaniu wspólnych rdzeni ruskiej i polskiej mowy, w ożywianiu archaizmów i tworzeniu neologizmów doszedł znacznie dalej niż do *tropy*, jego teksty, ostatnie dotąd mi znane, sprzed dziesięciu lat, to już był primordialny, słowiański zagajnik, *lesonok*; od czasu przekładów i eksperymentów Tuwima nikt chyba nie zaszedł tak daleko w przerzucaniu pomostów między dwoma językami.

I nagle – dwa tomiki, o których istnieniu dowiedziałem się też niemal przypadkiem, bodaj ze stron dobrego Wydawnictwa Próby. Dokąd zawędrował po dziesięciu latach autor „Wołoki” (i, bagatela, współautor „Konspiracy” – ten jego debiut, niemal nie wspominany w spokojnych, jak się okazuje, latach 90. i ciut późniejszych, powraca na kartach nowych książek)?

Już skok, jakiego dokonał, jest tak symboliczny, że trudno o mocniejszy: jakby agrafką zszył Europę, jakby obrócił ją niczym pasmo papieru we wstędze Möbiusa, oferując nam wszystkim paradoks, nad którym nie

sposób przejść do porządku: z Morza Białego – na Morze Tyrreńskie, z Wielkiej Sołowieckiej – na małą Procidę. Biel i grafit (piasku wulkanicznego), cisza i zgiełk, Cerkiew Przemienienia Pańskiego na Kiży i kościół świętej Klary. Te opozycje można by mnożyć, ale nie trzeba: oczywiste jest, że cięciwa Archangielsk-Neapol przecina Europę. Jakie strzały pofruną za jej sprawą? I czy zmieniło się wszystko, jak w negatywowym odbiciu?

Nie zmieniło się najważniejsze: pisarz trafił na Procidę z rodziną, dorastanie Ma., córki, jest jedną z ważniejszych osi książki, spajającej osiem wyspiarskich lat. To jednak rzecz zbyt prywatna; bym o niej pisał. Jest jednak jeszcze jedna oś, równie niezwykła jak cięcie Sołowki-Ischia, równie na pozór „literacka”, w tym sensie, że świadomie stworzona, że efektowna, a jednocześnie – ukazująca sensy, „podszewkę świata” i jego utkanie (ja, pisząc o takiej podszewce, zawsze myślę o Miłoszowym wersie „...ukaze się sens niedosiężny świata”, Wilk przywołuje Nabokova, sięgającego po to samo porównanie. I dobrze.). Otóż pisanie Mariusza Wilka, jeśli wziąć w nawias „Konspire” i trochę korespondencji z Berlina w roku upadku muru, rozpoczęło się od wyprawy do herlingowskiego Jercewa. Minęło z górą trzydzieści lat – i pisarz trafił do Neapolu, potem na pobliską wyspę, Neapolowi Herlinga-Grudzińskiego poświęcając jedną z dwóch książek, które przywołuję, „Przechadzki z cieniem”. Ale nie tylko ją: Herling pozostaje jednym z najważniejszych rozmówców Wilka, pisarz współczesny usiłuje zrozumieć dawnego, przejrzyć sprężyny, sworznie i zapadnie jego biografii, jego myślenia o świecie, i w Herlingu się przejrzyć. Nad łagrem w Jercewie myślał na Sołowkach, też przecież w łagier zamienionych: dziś, patrząc na jeden ze znaków rozpoznawczych Procidy, dawniej klasztor, dziś więzienie zwane Terra Murata,

wspomina areszt śledczy na ulicy Kurkowej w Gdańsku, gdzie w połowie lat 80., chcieli mu przyszyć paragraf o wspieraniu terroryzmu. Jeśli to nie jest perfekcyjną konstrukcją...

Zadbawszy o nią, mógł sobie w reszcie dzieła pozwolić na sylwiczność, zadeklarować, że składają się na nie „wymyki z mojego dziennika, okruchy prób, fragmenty listów do znajomych oraz «złote gwoździe» na których – zdaniem Józefa Czapskiego – można zawiesić własną myśl”. I rzeczywiście, te Wilkowe „wyjścia z milczenia”, niedokończone i sceptyczne, są wielobarwne i wielorakie jak garść zgarniętych z dna kamyków: trochę scen miejskich, trochę zapisu doświadczenia Włoch, doświadczenia Południa; trochę ech i pogłosów spotkań i przyjaźni z Północy, wiele obrazów córki i obrazów dla córki kreślonych. Nie jest to (jeszcze?) opowieść o Katanii tak otwierająca oczy, jak przed laty „Wilczy Notes” i kolejne tomy „Dziennika północnego”; ale też znajmy proporcję, pisząc o ruskiej Północy Wilk, wchodząc oczywiście w buty Czekanowskiego i Sieroszewskiego, nazywał zarazem ziemię przekłętą i wypartą, będąc tam pierwszym od dekad Polakiem przybyłym z własnej woli, opisującym ten świat, inny świat, ze współczuciem, chwilami zachwytem. Nie sposób opisywać w ten sposób, tak po raz pierwszy, włoskiego Południa – i Wilk jest tego w pełni świadom, pracowicie, wbrew pozornej niefrasobliwości, jednych poprzedników (Odyniec, Graves, Márai) po prostu wskazując, innych – podziwiając, tak skutecznie, że wiemy już, po jakie podróże włoskie musimy sięgnąć: po Elżę Morantę i po wydawanego przez Austerię Adama Wodnickiego.

A dla mnie, myślę, że dla wszystkich, którzy dotrą do tych dwóch tomów, największa radość z tego *patchworku*, z powrotu Wilka marnotrawnego, z tych wszystkich tropów i *trop*. Nie wiem, może tak samo cieszyłbym się z każdego pisarza, w którego cieniu rosnę, który

zniknąłby niespodziewanie, i po latach wrócił? Nie wiem, czy nie przesadziłem w leadzie: nie jest może *more crazy than ever*; na pewno cofnął się o pół kroku w cień i traktuje go serio: starość, milczenie, mrok. Ale temu towarzyszą wszystkie osobliwości, których uczyłem się z jego dzienników północnych: odrobina zabawnej, chłopięcej arogancji, odrobina dandyzmu (te okładkowe zdjęcia w tatarskiej czapeczce, ciemnych okularach i dobrze podkreślonymi kontrastem rysami twarzy: oto ktoś, komu udało się *Być jak John Malkovich!*) i ta wspaniała, tak rzadka umiejętność czytania, cytowania i przeżywania autorów z różnych półek: znam w Polsce tych, którzy czytają z uwagą Ryszarda Przybylskiego, Wojciecha Śmieję, Renatę Lis i Nicolása Gómeza Dávilę: ale chyba nikogo, kto potrafiłby czerpać z nich wszystkich.

I to, co może najbardziej u Wilka swoiste, też zostało: rozgryzanie słowa. Rdzenie i fonemy chrzęszczące jak demonstenesowy żwir, próba przeniknięcia istoty słów, desperackie próby ożywienia, choćby na własny użytek, zwrotów i czasowników wymarłych w potocznej polszczyźnie niczym okapi. Jest więc i „tyn”, termin dawniej oznaczający ogrodzenie, płot, zeribę, i sławizmy, które wydają się rusycyzmami („Pośpieła również botwina” – pisze nam z Neapolu), i „mozaiczną” miast „mozaikową”, i żarciki o *isolariuszu*, czyli antologii głosów o wyspach. I wokabularze botaniczne: wszyscy mówią „wisteria”, niektórzy „glicynia”, ale kto wie, że to „słodlin chiński”? Dobrze jest buszować po bibliotekach z Wilkiem.

A to, czym najbardziej zasłużył się polszczyźnie, czyli próby pokazania „innej Rosji”? Niby nie po to, by zajmować się Rosją, ciął Europę, nie po to trafiał ze śniegów na czarny piasek. Nie ma jeszcze, w tych dwóch pierwszych nowych zbiorkach, nowego klucza, a bodaj i łomu, do

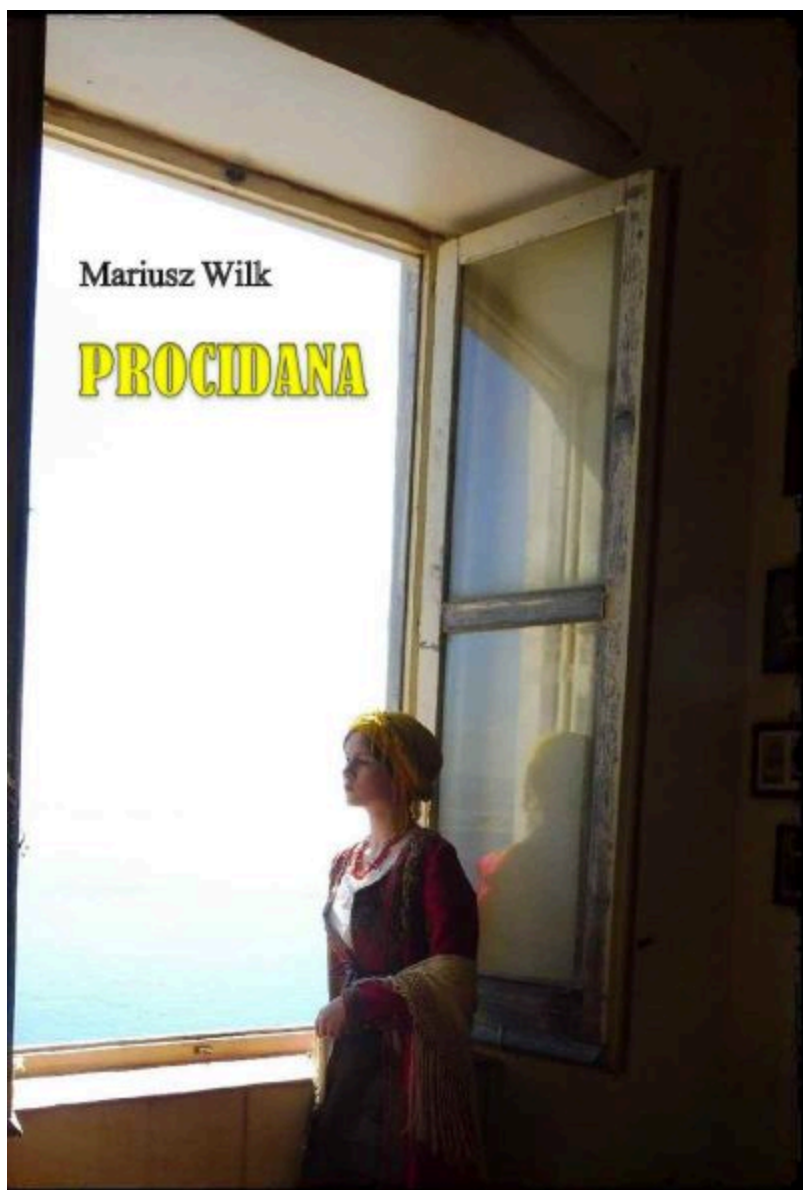
Moskowie po roku 2022. Jest wręcz gorzkawa deklaracja, że „Rodaków nie interesuje, co dzieje się po drugiej stronie linii frontu” i wzmianka o niewydanych, bo nie znalazły w Polsce wydawcy, „Listach z Karelii”.

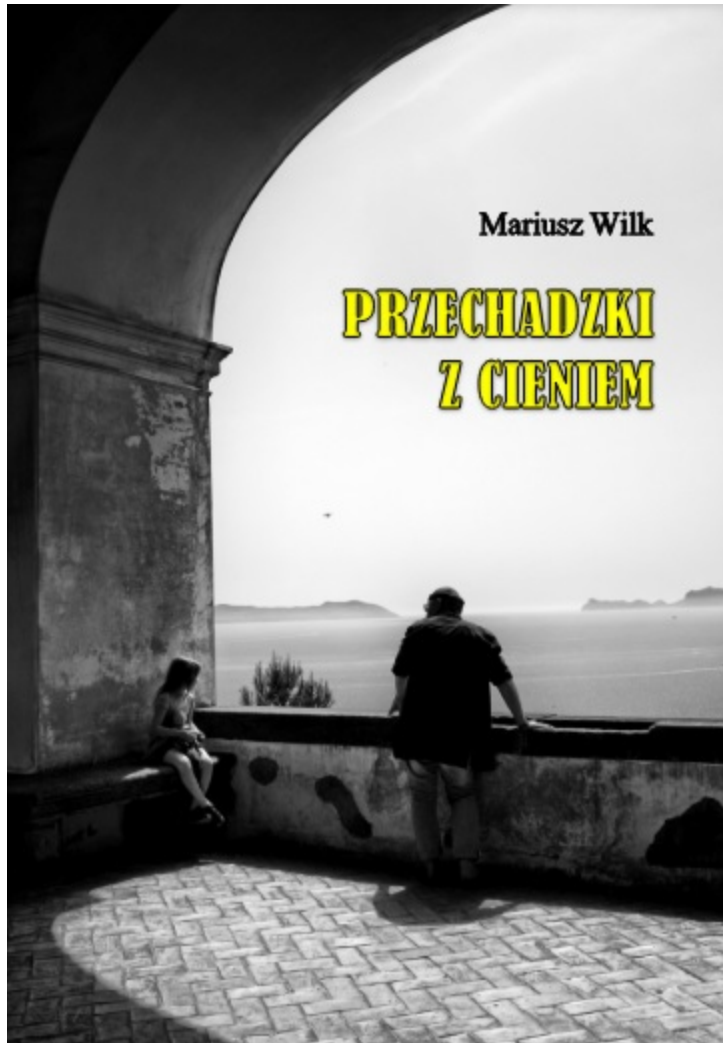
To jednak, co znalazło się w „Procidanach” – długie pożegnanie Wasilija Gołowanowa, niesłychanie gęsty szkic o Rozanowie i jego postrzeganiu Italii, Rzymu i Kościoła, przypomnienie uwag o hesychazmie i fundamentach prawosławia rosyjskiego – każe mi czekać z nadzieją na następne listy Wilka. Znad Zatoki Neapolitańskiej – a wbite, kotwicą atramentu, w brzegi Morza Białego.

Wojciech Stanisławski

Mariusz Wilk

PROCIDANA





**Mariusz Wilk, „Procidana”, Wydawnictwo Bogusław Mykietów,
Pyrzany, 2024;**

**Mariusz Wilk, „Przechadzki z cieniem”, Wydawnictwo Bogusław
Mykietów, Pyrzany, 2024**

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze